Nr. 44. We Lwowie dnia 4. listopada 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z jesiennej symfonji.

Skończyło się lato i jesień zabija motyle swym tchem.
Skończyło się lato i szronem zwarzone padają kwiaty,
Pachnie zadusznym dniem...

Znużona, blada,
Z orszakiem mar
Przychodzę,
A ze mną radość i czar
Przepada...
Po mglistej drodze
Z orszakiem mar
Przychodzę;
Na łąki zwiędłe, spalone,
Na pola zżęte, zorane,
Na wrzosowiska...
Wszystko skończone!
Powiędną kwiaty, posną
I nigdy już z martwych ziemia,
Zbudzona wiosną,
Nie wstanie...
Mój dech ją morzy, oniemia,
Mój dech ją ścina, kołysze
Na wieczne chłody, na ciszę,
Na wieczne spanie!...
Szron siwy błyska...

Zapomnij, ziemio, zapomnij,
Już nigdy z pod rżysk postaci,
Rycerze ogromni,
Skrzydlaci,
Syny twe jasne nie wstaną!
Życie jest bitwą przegraną
Każdemu,
Nikt tu zwyciężyć nie może,
Więc oto śmiercią dziś morzę
Wszystko dokoła...
I mękę ludzką i pracę, i serca ludzkie i zioła —
Zamieniam w garść czarnoziemu...
Zapomnij!
Nie warto ci było, nie warto,
Żyć, jako ptacy bezdomni,
Co z piersią padają rozdartą...
Zapomnij, duszo, zapomnij!

Zapomnij, serce, zapomnij,
Że w letnie ranki gorące,
W poranki rosą jarzące,
Świat ci się jawił i grały
Świerszczów chorały
Na łące...
Pajęcza nić, zbłąkana na wietrze, rwie się, gnie —
O życia śnie znikomy, prześniony, marny śnie!...

Znużona, blada,
Z orszakiem mar
Przychodzę
A ze mną radość i czar
Przepada...

Skończyło się lato i jesień zabija motyle swym tchem,
Skończyło się lato i szronem zwarzone padają kwiaty.
Padnie zadusznym dniem...

Chodź ze mną! Pójdziem w ciche, omglone cmentarze,
Pójdziemy światła palić na grobach i sami,
Pośród głazów milczących błąkać się myślami —
Pójdź, a własną ci twoją mogiłę pokażę!
Jeszcze się nad nią wieko czasu nie zawarło,
Jeszcze dyszy czeluścią próżną i niesytą,
Jeszcze ćwieków na piersiach trumny twej nie bito,
A już jesteś minioną rzeczą i umarłą...

Nie żałuj! mija wszystko, więc na sen cię wiodę
Przez cichych pól rozłogi, przez letejską wodę,
Na śmierci pokój wieczny, w głąb urocznych podziemi.
I nie bój się! Ja razem w chłód urocznych czeluści
Idę, jak cień twój wierny, co cię nie opuści
I przez wieczność strzedz będzie skrzydły rozpiętemi!.

Zapomnij, ziemio, zapomnij,
Już nigdy z pod rżysk postaci
Rycerze ogromni,
Skrzydlaci,
Syny twe jasne nie wstaną!
Życie jest bitwą przegraną
Każdemu,
Nikt tu zwyciężyć nie może,
Więc oto śmiercią dziś morzę
Wszystko dokoła.
I mękę ludzką i pracę i serca ludzkie i zioła —
Zamieniam w garść czarnoziemu...
Zapomnij!

D. mol.



TEATR MIEJSKI WE LWOWIE.

„KOŚCIELISKO“

niedokończony poemat

S. Goszczyńskiego.[1])

„Sobótka“, najwyżej oceniony pod względem artystycznym utwór Seweryna Goszczyńskiego, miała być, jak wiadomo, fragmentem większej powieści poetyckiej p. t. „Kościelisko“. Pomysł tego utworu powstał w r. 1832-im podczas pobytu Goszczyńskiego w Tatrach, pobytu znanego nam z „Dziennika podróży do Tatrów przez autora Sobótki“. Pamiętnik ten obejmuje okres od d. 4-go kwietnia do d. 1-go listopada 1832-go r. i nie potrąca o dzieje poematu „Kościelisko“. Niewątpliwie wszakże poeta pracował nad tym pomysłem jeszcze w Tatrach. August Bielowski pod dniem 3-im października tegoż roku, donosi w liście: „Sewer pisze teraz powieść wierszem p. t. „Kościelisko“ z podań, które tego lata dały mu się zebrać w Karpatach“.

Autor „Zamku Kaniowskiego“, tak skłonny do kierowania swej wyobraźni w krainy potęg nadziemskich, przejawiających się w przyrodzie i rządzących losem ludzkim, w Tatrach, wśród niezwykłych dla siebie zjawisk przyrody, poczuł się jakby w siedlisku tych sił nadprzyrodzonych. Dzieląc w wyższym stopniu, niż ktokolwiek inny z poetów romantycznych, pogląd na wierzenia religijno-poetyckie ludu, jako na jedyne źródło poezji narodowej, starał się i tutaj w zespoleniu z duchem ludu — znaleźć punkt poetyckiego widzenia przyrody górskiej. „Dziennik podróży do Tatrów“ opracowany był do druku już w epoce towjanizmu (wydany w Petersburgu w r. 1853), należy więc traktować ten dokument oględnie, zabarwienie bowiem religijne tu i ówdzie jest w tym dzienniku, rzec można, antydatowane, późniejsze. Wszakże towjanizm naszych poetów organicznie wywinął się z pierwiastków romantyzmu i zwłaszcza poglądów na przyrodę i na lud nie zmienił w nim zasadniczo.

W r. 1853—54 Goszczyński, pisząc „Sobótkę“, jednoczył się w poglądach na świat z ludem i wierzył, jako poeta, wraz z nim, że dawniej „dzisiejsze dziwy dziwami nie były: grały widomie niewidome siły i pilnowały człowieka jak dziecka. W powietrzu, w drzewach, w kamieniu, pod wodą krewne współczucie ludzie znajdowali“. A w r. 1853-im panteizm poety wyraża się w „Dzienniku podróży“ w takich słowach: „Cóż nas upoważnia twierdzić, że skała także, że kamień także nie ma swojego ducha? Jest duch stworzenia, jest duch ludzkości, jest duch narodu, jest duch pojedynczego człowieka, jest duch wogóle, musi być i w każdej cząstce ogółu... Nie żartujmy z tej wiary ludu, bo on zawsze na końcu wygrywa i zawstydzi naszą mądrość zmysłową, całkiem pełzającą po wierzchu rzeczy“ (str. 157).

Posłuchajmy dalszych wyznań poety, bo one nam ułatwią rozumienie stanowiska poetyckiego „Sobótki“ i „Kościeliska“. „Oto jest, co mnie tak przywiązuje do niego (do ludu), co mnie pobudza stać się podobnym do tych, których „aniołowie są zawsze przed obliczem Bożem“... Jeżeli zbieram i podaję innym pieśni, powieści, podania, wyobrażenia, nawet przesądy i zabobony ludu, nie zbieram ich i nie podaję jako kamyczki mniej więcej przydatne do utworzenia jakiejś martwej mozajki poetycznej — nie! wziąłem je z łona życia, *jako żyjące czucie ludu* i za rzecz żyjącą podaje. Chcę je zachować w życiu dla życia ludu. Chcę je zachować także dla życia naszej sztuki“.

„Kiedy rzucę okiem — pisze dalej poeta w swoim pamiętniku — na cały obszar tego kraju... nie mogę wstrzymać się od żalu, że dotąd poezja nasza nie dotknęła tych okolic, nie położyła na nich tego uroku widomego, jaki np. w nowszych czasach *rozlał Walter-Scott na góry swej ojczyzny*“...

Jest to napomknienie bardzo ważne, bo potwierdza rzecz, widoczną zresztą z samych utworów, że źródłem pomysłów literackich naszego poety był Walter-Scott. „Szyller (czytamy dalej), w jednych ze swoich poezji, żali się na zamarcie, na bezduszność świata obecnego, tęskni za życiem duchowem Greków, opłakuje Nimfy, Dryady... Nie ubolewałby za przeszłością, gdyby zeszedł był do naszego ludu: byłby tam znalazł ów świat ducha, *którego świat grecki był tylko zamglonem, mętnem przeczuciem;* byłby znalazł między naszym ludem życie i Nimf, i Najad, i Dryad, ale prawdziwsze, wyraźniejsze, bo objawione przez ducha chrześcijańskiego, *nie domysły, nie odgadywania, nie wymysły ludzkie, ale pewność wewnętrzną*, silną i oczywistą, jak wiara“...

Cytaty te były konieczne do wdrożenia umysłu dzisiejszego czytelnika w szlaki natchnień naszego romantyka. (C. d. n.)

Zygmunt Wasilewski.

[1]) *„Kurjer Warszawski“.*



NOWY TEATR MIEJSKI WE LWOWIE.
Widok klatki schodowej z rzeźbą *Piotra Wojtowicza.*

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

— Ludzie na świecie! — Hej! Ho, ho! — przerwały tam i ówdzie wykrzykniki głuche milczenie, które panowało w zgromadzeniu podczas opowiadania Justa. Ów powiódł żywem, czarnem oczkiem po twarzach słuchaczy, a widząc wrażenie swych słów, jął mówić dalej z tem większem zadowoleniem i pewnością siebie.

— Możecie sobie wyobrazić, co się ze mną działo. Alem przecie nie stracił do imentu przytomności. Podziękowałem, ukłoniłem się i cofam się ku drzwiom, gdy spostrzegam nagle, że kanclerz daje mi znaki. Przystanąłem.

— Przybywacie z Domażlic? - pyta kanclerz.

— Z Domażlic, jaśnie wielmożny panie — odpowiadam.

— A więc musicie znać Chodów?

-- Jakożbym ich nie znał, jaśnie panie...

Tu Just musiał przerwać opowieść, bo w izbie zerwał się szum, do halnego wichru podobny. Okrzyki zdziwienia i wątpliwości górowały jednak nad gwarem ogólnym. Brychta zerwał się z ławy pierwszy, po nim młody Szerłowski i Niemiec. Kozina, który słuchał z pochyloną głową, podniósł ją teraz i szukał spojrzeniem twarzy starego stryka z Drażenowa. Wójt Syka starał się tymczasem uciszyć hałas, aby Just mógł dokończyć. Ów rozchylił wargi w szerokim uśmiechu, a po chwili mówił dalej:

— Jakożbym ich nie znał, jaśnie wielmożny panie — powiadam. — Wszak w sąsiedztwie żyjemy.

— No, my teraz nic o nich nie słyszymy. Dawniej zgłaszali się tu często — odrzekł kanclerz. -- Mają, widać, dobrego pana i są z niego zadowoleni...

Gwar i szum wybuchnął ponownie na te słowa, wszystko inne głuszył jednak dziki śmiech Brychty, który bił w podłogę ostrym końcem ciupagi. Ale krzyki ucichły nagle, gdy białowłosy Krzysztof Hruby przystąpił do Justa i zapytał go poważnie:

— Powiadacie-li prawdę?

— Pocóż bym miał kłamać? — zawołał Just energicznie. — Szkoda, że niema tu mego chłopaka, byłby przytwierdził. Mamże się zaklinać albo przysięgać? Wszystko, com rzekł, to święta prawda.

— No i jakoż, pytał się jeszcze o co ów pan kanclerz? — ciągnął badanie Hruby.

— Nie, o nic zgoła.

— A czemuż nie opowiedzieliście mu, jak się patrzy, o postępowaniu Lomikara z nami? — wybuchnął Brychta.

— Nie wypadało. Do takiego pana nie wolno mówić, gdy on sam nie pyta. A zresztą, gdybym nawet chciał, nie mógłbym, bo wnet po tych słowach skinął mi ręką i udał się za cesarzem. Alem wnet pomyślał sobie: Powiesz im o tem, Macieju! Mnie osobiście nie grzeje to wprawdzie, ani ziębi, ale wiem przecie, jak to bywa, kiedy człowiekowi dzieje się krzywda, a wam się ona dzieje Nie potrzebuję też oszczędzać Lomikara, który jest taki sam, jako i ojciec, może jeszcze gorszy. Dali się obaj we znaki i nam, domażliczanom, a na domiar wszystkiego zagrabili naszej gminie dwór tranowski, który zawsze do niej należał. Teraz Lomikar wybudował tam sobie pałac i panosząc się na własnym naszym gruncie, drwi sobie z domażliczan, a nad wami się znęca. Śmiały z niego zbójnik — zaiste!

— A jakożby nie miał być śmiałym — westchnął Hruby. — Mądrze wyczekał pory, aż zostanie starostą pilzneńskim, aby tem większą moc miał w ręku.

— Ale z ostatniego gwałtu, nad nami spełnionego, widać, że nasze papiery nie utraciły jeszcze wartości — zauważył Kozina. — W przeciwnym razie był-żeby tak stał o te dokumenty?...

— Prawda, prawda! — przytwierdziło kilka głosów.

— Ale cóż nam z tego dziś, kiedy ten wilk je spalił? -- skarżył się Pajdar.

— Możecie jednak, pomimo wszystko, próbować szczęścia w Wiedniu — przekonywał Just! Wszak tam wiedzą o waszych prawach, wszak sam kanclerz o nich napomykał...

— Myśmy tak samo myśleli i mówiliśmy sobie, że tej sprawy tak ostawić nie należy. Temu też zwołaliśmy was, aby się naradzić, choć nie wiedzieliśmy jeszcze nic o onym kanclerzu — mówił Kozina, a wszyscy przytakiwali mu głosem i ruchami.

— Tembardziej teraz możemy kołatać śmiało, skoro wiemy, że w Wiedniu pamiętają o naszych dokumentach — dorzucił Syka.

— Jeszcze też, na szczęście, posiadamy z nich coś-niecoś — ozwał się nagle Krzysztof Hruby i wyjął z poza kamizeli zwiniętą chustkę. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na mówiącego z ciekawością i ze wszystkich piersi wyrwał się okrzyk, gdy Hruby podniósł do światła dwa pergaminy z dużemi, zwieszającemi się pieczęciami.

Radośne zdumienie ogarnęło wszystkich, nie wyłączając Justa. Nawet kamienna twarz Przybka ożywiła się nagle; ostatni chorąży chodzki wstał szybko z ławy i patrzał po nad głowami innych na świadectwa minionej wolności. Brychta natomiast nie był w stanie zapanować nad wrażeniem: porwał się od stołu, wyprężył jak struna i zwracając ku oknu z zaciśniętą pięścią, śmiał się w uniesieniu szalonem i wołał tryumfująco:

— Hej, panie Lomikarze! Nie być nam twymi niewolnikami! Słyszysz, mamy jeszcze coś dla ciebie i na ciebie, wysoko urodzony panie!

— Prawdziwe-ż są — dobre? — zapytywał Ecl z Kleńcza wójta Sykę, jako znawcę.

— Prawdziwe i dobre — dyć z naszej szkatuły wyjęte — i to najważniejsze ze wszystkich, które się tam znajdowały. Ten ma podpis króla Jerzego z Podiebradu, a tamten Matjasza.

— Ale jakim-że cudem ostały? — Jakim cudem Lomikar ich nie zagrabił? — pytał Pajdar w imieniu całego zgromadzenia, bo wszyscy te same słowa mieli na ustach.

Wtedy Jan zabrał głos i opowiedział, jako na wójtowstwie przyszło mu na myśl, że panom nie chodzi o niego, ani o Przybka, jeno o dokumenty. Tą myślą podzielił się z matką, która wnet udała się do chałupy i wyjęła ze skrzynki te dwa, najważniejsze. Znała je dobrze z onych czasów jeszcze, kiedy papiery Chodów przechowywały się w domu jej ojca, w Drażenowie.

Kozina nie skończył jeszcze mówić, gdy ze wszystkich stron rozległy się okrzyki uznania i pochwały dla niego, a zwłaszcza dla starej jego matki. Brychta zaś wołał z zapałem:

— A niech-że mię jasne pioruny trzasną! To mi dopiero baba rzetelna! Widać wnet, że to twoja matka, Jaśku!

Kozina jednak, zdając się nie słyszeć pochwał, zwrócił rozmowę na dawne tory.

— Tem bardziej więc teraz możemy się upomnieć o nasze prawa, gdy mamy coś w ręku i wiemy, że u dworu nie zapomniano o nas.

Zgromadzenie, rozgrzane już pierwiej opowiadaniem Justa, zgodziło się tem chętniej. Jeden tylko Przybek ust nie otworzył. Dopiero gdy Just postawił wniosek, aby wysłać mądrych i pewnych ludzi w poselstwie do Wiednia, co zostało jednomyślnie przyjęte, chorąży Chodów odezwał się posępnie.

— Czyńcie, jako się wam podoba, ale mnie do tego nie wzywajcie. Ja do Wiednia nie pódę. Ale kie wybije czarna godzineczka, — a wybije ona niechybnie — i uradzicie pójść na panów, nie zaś ku panom, wtedy pódę — o pójdę, choćby i sam...

Słowa jego przebrzmiały jednak bez echa. Jeden tylko Brychta zawołał:

— A no, wtedy pódziemy przecie z tobą wszyscy!

Gdy zaczęto omawiać, kogoby należało wybrać do poselstwa, oświadczyli się wszyscy jednogłośnie za Hrubym, Syką i Koziną. Just wszakże innego był zdania i starał się udowodnić, że jakkolwiek ci trzej wywiązaliby się z przyjętej misji znakomicie, wysyłać ich nie należy, bo i w domu są potrzebni i nieobecność ich zwróciłaby uwagę Lomikara, który bacznie śledzi wszystkie kroki Koziny i Syki. W razie więc, gdyby oni zostali wybrani, podróży ich nie sposób byłoby utaić i Lomikar mógłby odrazu udaremnić wszelkie usiłowania.

Uchwalono więc ostatecznie wysłać Psutkę z Postrzekowa, Niemca z Miodakowa, a także Pajdara z Poczynowic.

— Pódziemy radzi — mówił Psutka — ale we Wiedniu siedzą Niemcy, a my po niemiecku gwarzyć nie umiemy. A z posłuchaniem u cesarza też nie wiemy, jakobyśmy poczynać mieli...

— Dyć wyście hań już byli — zwrócił się na to Niemiec do Justa — tobyście przecie mogli pójść z nami po raz drugi.

Just, który na tę propozycję czekał oddawna, zaczął się niby wzbraniać i wymawiać. Trwało to jednak krótko. Na żądanie ogólne, do którego nie przyłączył się jeden tylko Przybek, zgodził się stanąć na czele deputacji i wyjednać jej posłuchanie u cesarza. Zaczem podali sobie wszyscy ręce na znak milczącej przysięgi, że zachowają w zupełnej tajemnicy dzisiejszą naradę.

Po chwili cisza zapanowała znowu w samotnej chacie grajka. Chodowie zdążali pod osłoną ciemności nocnych, każdy do swojej wioski. Kozina odwoził sankami Justa do Domażlic. W ślad za nimi jechał Pajdar z młodym Szerłowskim.

Kozina słyszał z początku dzwonki sań poczynowskich, potem jednak, zajęty rozmową z Justem o zbliżającej się walce z terhanowskim panem, nie zwrócił uwagi, że umilkły nagle... A jakożby nie miały zmilknąć, kiedy sanki stały nieruchome, na skraju wsi i nie dwie osoby w nich siedziały teraz, ale jedna... Był to stary Pajdar. Otulał się szczelnie kożuchem i trzymał lejce dzielnego wałacha, który nisko pochylał głowę o rozwianej na wietrze grzywie długiej. Pajdar czekał — czekał, aże cnić mu się już poczynało nie na żarty. „Na chwilkę ino, na króciuchną chwilkę — błagał ten zwarjowany chłopak — abych mógł Marynkę uwidzieć“... Ale skoro go Maciej uwidzi, będzie się miał z pyszna, że tak pięknie tajemnicy dochowuje. Nikt przecie zgoła nie powinien wiedzieć o ich bytności w Ujeździe... Po ciemku przyjechali — nocą odjeżdżają. Pozna-li kto tego szaleńca, gdy będzie krążył wokoło domu... Wtem szybkie kroki... To on...

Jakoż rzeczywiście, młody Szerłowski, wesoły i zdyszany, hipnął do sań.

— Ano, i jakoż ci się powiodło?

— Dobrze, stryku, dobrze! Widziałech swoją dziewczynę, — ha, nie ino-ch widział, ale-ch i ugwarzył z nią...

Ze słów, głosu znać było, że słońce świeci mu w duszy. Pajdar szarpnął lejce i krzyknął na konia, który puścił się cwałem po zawianej drodze. Podczas szybkiej jazdy Szerłowski opowiadał, jako szczęście mu sprzyjało: nie czekał zbyt długo, Marynka wyszła właśnie zamknąć furtkę, więc mogli spędzić ze sobą chwilę, porozmawiać. O tem jednak, że otoczył jej kibić ramieniem i że pocałował ją dziś po raz pierwszy w wiśniowe usta — nie wspomniał ani jednem słowem...

Pajdar, uspokojony zapewnieniem, że chłopak nie zdradził się przed Marynką z tem, gdzie był,

nie pytał o nic więcej. A chłopak tymczasem czuł się szczęśliwy, jak nigdy. Zapomniał wnet o tajnej naradzie w chałupie grajka, o której dumał siedzący obok niego stary Chod— i całą duszą, wszystkiemi myślami był znowu przy Marynce. Pierwsza, krótka chwila szczęścia, rozgrzała mu krew.. — Sanie skrzypiały w ciemnościach mroźnej nocy, grudki twardego śniegu, wylatując z pod kopyt pędzącego konia, biły go w twarz — jemu wszakże lekko było na sercu, jasno i dobrze, jak gdyby otaczała go wonna, marząca noc wiosenna. C. d. n.



CZUWAJ!
OPOWIADANIE MATYLDY SERAO

Z WŁOSKIEGO.

9) PRZEKŁAD EUGENJI ŻMIJEWSKIEJ.

To też w dniu, w którym Mario zachorował, nakazała służącej, by nie puszczała galerników do domu; a przykazała tak stanowczo, z takim wybuchem gniewu, że Grazietta przelękła się swej pani po raz pierwszy i zabroniła nawet mężowi, by nie przychodził pod okno kuchni po resztki z obiadu, lecz czekał na nią w miejscu umówionem.

— Nie chcę tu widzieć ani twojego męża, ani Gennara Campanille, ani Rocca Traetto. Żadnego, żadnego! wołała Cecylja.

Od czasu zasłabnięcia Maria, Rocco wciąż krążył pod domem. Pierwszego dnia chciał nawet wejść, ale Grazietta powiedziała mu ostro:

— Pani nie chce mieć galerników u siebie.

Było to ciosem dla niego. Stanął na progu, milczał chwilę, wreszcie ze łzami w głosie zapytał:

— A jakże się miewa *piccerillo?*

— Źle. Módlmy się o jego wyzdrowienie.

— Módlmy się — powtórzył pokornie.

Odrywał się co chwila od roboty, krążył na około gmachu dyrekcji, w nadziei, że będzie mógł się dowiedzieć o zdrowiu dziecka.

Otrzymywał wciąż kary za nieposłuszeństwo i lenistwo, ale na to nie zważał; zapominał o jedzeniu, o spaniu, byle módz wpatrywać się w ten balkon z zamkniętemi żaluzjami, przez które wieczorem przezierało światełko. Ilekroć spotkał służącą, pytał ją:

— Jak on się miewa?

— Czasem lepiej, chwilami gorzej. Nie rozumiem doprawdy.

— Oddajmy go pod opiekę Madonny — zawtórował.

Pewnego poranku ośmielił się zaczepić doktora Curacciolo. Ten go nie znał, bo Rocco nigdy nie chorował. Nagle stanął przed lekarzem i głosem drżącym zapytał:

— Jak się miewa *piccerillo?* Jak on się miewa?

— Cóż to ciebie obchodzi? — odparł doktor szorstko, bo był ostry dla galerników.

— Ja jemu służyłem, proszę pana, ja służyłem *piccerillowi.*

Powiedział to z taką pokorą i czułością, że doktór, nieprzyzwyczajony do podobnych uczuć u przestępców, spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Ani źle, ani dobrze — odparł łagodniej.

— A czy go pan wyleczy? Proszę go wyleczyć, panie doktorze. On musi być zdrów.

— Miejmy nadzieję, że wyzdrowieje — rzekł doktor, idąc dalej.

Największem zmartwieniem Rocca było, że nie może wejść do domu dyrektora. Skoro tylko zobaczył w oknie Cecylję, wysuwał się na środek placyku, zdejmował czapki, kłaniał jej się i patrzał tak żałośnie, tak błagalnie, że mógłby wzruszyć najobojętniejszą osobę. Ale ona go nie widziała, lub też nie chciała go widzieć, patrzała w inną stronę i cofała się natychmiast w głąb pokoju.

Wtedy odchodził trochę dalej i krążył na tem jednem miejscu, jak szyldwach.

Pewnego dnia, trzeciego lub czwartego choroby, Rocco, nie mogąc już opanować niepokoju, wszedł do biura dyrekcji.

Nieszczęśliwy ojciec pisał raporty. Nie podniósł głowy od książki. Rocco z czapką w ręku czekał, by dyrektor skończył swoją robotę. Wreszcie Gigli spostrzegł go i odkładając pióro, zapytał:

— To ty, Rocco Traetta? Czego chcesz?

— Chciałbym się dowiedzić, Wasza Ekscelencjo... chciałbym się dowiedzieć... jak się miewa *piccerillo?* — szepnął nieśmiało.

— Bardzo chory biedaczek, męczy się okropnie — odpowiedział ojciec ze wzruszeniem.

— O! Madonno! Madonno! — zawołał Rocco.

— Ale znosi to cierpliwie — dodał ojciec głosem przyciszonym, jakby mówił sam do siebie. — Matka nie opuszcza go na chwilę.

— Czy on wyzdrowieje? Kiedy on wyzdrowieje?

— Za dni kilka — nie prędzej.

Galernik umilkł, zafrasowany. Widocznie chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie śmiał, że jednak po to tylko tu przyszedł, więc po chwili rzekł:

— Czy nie wolno mu widywać nikogo?

Kapitan podniósł oczy, spojrzał na zbrodniarza i wyczytał na jego twarzy pokorną prośbę i szczery niepokój.

— Nie, tymczasem, nie można — odparł po chwili namysłu. — *Piccerillo* bardzo wrażliwy, odwiedziny obcych osób mogłyby go zmęczyć.

— A jednak dawniej bawił się ze mną.

— Wiem, ale teraz nie możesz go widzieć. Poczekaj; doktór nie pozwolił go odwiedzać.

— Poczekam?... Może jutro albo pojutrze.

— Nie, dłużej, dziecko potrzebuje spokoju — odparł dyrektor.

Zapanowało znowu milczenie. Rocca obracał w palcach ponsową czapkę i nie wychodził: widocznie miał coś jeszcze do powiedzenia.

Kapitan był zakłopotany; chciał się pozbyć galernika, ale nie śmiał go odprawić, więc spuścił głowę i pisał.

— Wasza Ekscelencja taka dobra, że mnie znosi, więc może zechce mi jednej łaski udzielić?

— Jakiej? — spytał kapitan.

— Proszę powiedzieć odemnie dzień dobry *piccerillowi*, proszę mu powiedzieć, że Wiewiórka mówi dzień dobry *piccerillowi*. Wiewiórka, Wasza Ekscelencjo, proszę nie zapomnieć.

— Dobrze, dobrze, powiem mu, możesz być spokojny.

— Bardzo dziękuję Waszej Ekscelencji — szepnął galernik.

Z pism i siążek.

Slovansky przehled („Słow. przegląd“) III. 1. 1900. Wytrwałości i skrzętnej pracy p. A. Czernego ma świat słowiański wiele do zawdzięczenia, przedewszystkiem Czesi, którzy zdobywają przodownictwo między pobratymcami na polu literackiem nie przez swojego Sienkiewicza lub Tołstoja, bo go jeszcze nie mają, ale przezześrodkowanie wiadomości z całej Słowiańszczyzny w „Słowiańskim przeglądzie“. Zasługą kierownika tego czasopisma jest, że wydawnictwo nie upadło, czego się początkowo bardzo obawiano, przeciwnie, postęp z każdym zeszytem widoczniejszy tak w nadsyłanych dopisach, jakoteż rozprawkach naukowych, literackich i społecznych, nawet ozdób obrazkowych niepomiernie przybyło w roczniku drugim, a gdy nawet ze strony akademji praskiej wydawnictwo doznało poparcia, śmiało może redakcja przystąpić do wydawania słowiańskiej książnicy (Slavanska knihovne). Zamiar wydawnictwa takiej podręcznej biblioteczki wnet się urzeczywistni, a tomik I. będzie zawierał „O slovenském sjezdé w Praze r. 1848.“ dr. Z. Tobolki.

Zeszyt I. rocznika nowego przynosi pracę p. A. Czernego: „Sto lat łużyckiej poezji“; praca to dłuższa, godna omówienia szerszego, skoro będzie ukończona; Dr. Wrat. Czerny umieścił tu krótki przegląd „*Literackiej produkcji w Czarnogórze w. XIX w.*“, z czego ważniejsze warto wyjąć wiadomości: Czarnogóra wcześnie się rwała do życia umysłowego (r. 1493 w Obodzie założona drukarnia), ale ciągłe walki z Turkami, zmuszały muzy do milczenia. Prawdziwy ruch literacki wznieca dopiero władyka Piotr II. Petrowič Njegos (Rada), który 1830 wstępuje na tron książęcy. Wychowany pod wpływem wieszcza Milutimviča, uprawia sztukę poetycką i kierunek patrjotyczny wytycza czarnogórskiej poezji. W ślady przodka wstąpił dzisiejszy książe, który nie tylko berło państwa dzierży w swym ręku, ale jest też najprzedniejszym dziś baśnikiem czarnogórskim. On jest twórcą hymnu narodowego „Onamo, onamo“. Czterdziestolecie swego panowania uświetnił w 29. sierpniu b. r. nową świątynią, na której ścianach złotemi głoskami 3600 imion bohaterów narodowych wypisać kazał. Z czasopism miejscowych wzmianki są godne: „Glas Czrnogorca“, „Prosvijeta“, (oświata) z miesięcznikiem „Luča“. Zakazy w Austro-Węgrzech, skierowane przeciw niektórym czasopismom czarnogórskim, powodują zwinięcie jednego wydawnictwa, a powstanie nowego tak n. p. „Glas Czrnogorca“ jest następcą „Czrnogorca“, „Nowa Zeta“ powstała po „Zecie“, ta po upadku „Czrnogorki.

Z innych rzeczy wymienić należy: P. Maternowej życiorys i przekład kilku pieśni S. J. *Nadsona*, przedwcześnie zmarłego poety rosyjskiego (1862—1887), którego zbiorek wierszy wyszedł już w 17 wydaniach. St. Lewandowski poświęca słów parę *najmłodszemu malarstwu polskiemu*, które się w Piotrogrodzie rozwija samo z siebie bez żadnych wpływów obcych, a na czele grona tych przez niego nazwanych „Kresowców“ stoi Ruszyc, jako najwybitniejszy przedstawiciel. Ciepłymi słowami wielbi Fr. Ilesic biskupa *Slomska* („Lavantinsky biskup Anton Martin Slomsek), wielkiego Słoweńca, pozostawiając jednak dokończenie do zeszytu następnego.

Dopisy mamy tu z Krakowa, Krainy, z Piotrogrodu, najciekawszy z Łużyc o zebraniach wakacyjnych studenstwa (skhadzowanka), założonych przez ojczyźnika łużyckiego dr. Mukę, a których celem jest szerzenie oświaty ludowej. W dziale „Rozhledy a zpravy“ uczczono krótkim życiorysem Jakuba Czisińskiego (Barta), baśnika łużyckiego i kapłana z powodu 25-go jubileuszu jego działalności pisarskiej. Z południowych Słowian wyszczególniono podobnież biskupa Strossmajera.

Zeszyt zdobi 5 podobizn (Nadson, Mikołaj I, książe Czarnogóry, Czisiński, Reymont, Strossmajer).

Jan Fr. Magiery.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.